



Lęk
przed stratą
bywa tak samo
bolesny
jak strata...

BEATA
MAJEWSKA

PURPUROWE
ŁZY

BEATA

MAJEWSKA

PURPUROWE

ŁZY

MIRAZ

PROLOG

Nie bała się śmierci.

Jedyne, co czuła, to przeogromny żal, że to już koniec. Nagle przytłoczył ją smutek i chociaż zdążyła wcześniej poznać rozdzierającą serce rozpacz, teraz jej ciężar zdawał się nie do zniesienia. Świadomość, że to już koniec, odbierała jej oddech. Nie były jej pisane kolejne cudowne dni i noce. Już nie obudzi się obok mężczyzny, którego pokochała z całego serca. I który kochał ją.

A przecież tylko on się liczył, nikt inny.

Dla niego mogła się poświęcić. Powinna się poświęcić.

Nie odrywała wzroku od lufy pistoletu wymierzonej prosto w jej czoło.

„Zabij mnie, ale jego ocal...” – błagała w myślach napastniczkę.

Nie wiedzieć czemu, założyła, że albo to ona zginie, albo on, jej ukochany mężczyzna. Ta niezbyt racjonalna myśl dodawała jej odwagi. Wybór był prosty – tylko on zasługiwał na życie. Nawet jeśli miał na początku trochę za nią tęsknić. „Spotkasz kogoś,

kto cię pokocha. Może nawet mocniej niż ja” – rzekła w duchu.

– Nie dostaniesz ich – wygłosiła do kobiety, która w nią celowała.

Miała na myśli piękne kolczyki, które otrzymała od męża. Szlifowane krople z ametystów wyglądające jak purpurowe łzy. Uwielbiała te kolczyki i nosiła je prawie cały czas. Tylko wieczorami je zdejmowała i układała na aksamitnej poduszeczce, żeby się nie zniszczyły. Były jak jej sekretny amulet. Każdego ranka, zanim je założyła, patrzyła przez nie na świat. Słońce migotało w fasetkach i odbijało maleńkie tęcze na jej twarzy.

– Na nic nie zasługujesz – dodała.

Ale te słowa, choć wypowiedziała je na głos, kierowała do siebie. To ona była winna, to przez nią nastąpił ciąg zdarzeń, który ostatecznie doprowadził ją do tego momentu.

Do chwili, kiedy stanęła wobec śmierci.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Umarł król, niech żyje król... – westchnął Radik, chowając telefon do kieszeni.

Przez chwilę rozważał, co zrobić z wiedzą zdobytą od Dżamili, małżonki Wilka. Kobieta próbowała dodzwonić się do Chana, lecz ten był zaabsorbowany czymś absolutnie najważniejszym, a mianowicie uczestnictwem w narodzinach swojego pierwszego syna. Towarzyszył Fabianie od pierwszych skurczów, czyli od wczesnego ranka, i miał na głowie inne sprawy niż odbieranie telefonów od jakiejś tam Dżamili.

Radik bynajmniej się tam nie pchał. Tam, to znaczy do prywatnych apartamentów Fabiany, narzeczonej Chana. Jeszcze tego brakowało, żeby wezwany do rezydencji lekarz ginekolog kazał mu robić coś przy rodzącej babie. O nie! Wszystko, tylko nie babska fizjologia. Wszelkie te medyczne kwestie związane z ciążą i porodem budziły w nim mieszkankę strachu i obrzydzenia. To zdawało się Radikowi równie tajemne i mroczne jak sekretne szamańskie praktyki, a na dodatek ściśle wiązało się z cierpieniem kobiety,

któremu nikt nie mógł zaradzić, a na pewno nie on, zwykły facet.

Nerwowo dreptał w miejscu, myśląc, czy wybrać się tam, czy lepiej poczekać u siebie, aż sytuacja się uspokoi. Wiedział, że dziecko się urodziło, stało się to około trzech godzin temu, a zatem prawdopodobnie w tym samym momencie zmarł ojciec Fabiany. Radik wiedział również, że nowo narodzony chłopak jest zdrow jak ryba, dorodny i kropka w kropkę podobny do swojego taty. Te wszystkie detale zdążył poznać od Alii w czasie lunchu.

– Pieprzyć to wszystko – mruknął do siebie.

Postanowił pójść do świeżo upieczonych rodziców i pogratulować, bo przecież wypadało. Najwyżej go wywalą, jeśli będzie przeszkadzał. Co do samego dzieciaka miał mieszane uczucia, bo jednak prócz szczęścia to ogromna odpowiedzialność i jeszcze większe kłopoty. Czuł, że Chan sceduje na niego jako swojego zastępcę większość obowiązków i nawet jeśli miało to trwać tylko przez pewien czas, wcale go nie cieszyło. Bynajmniej nie bał się pracy. Pracę lubił i cenił sobie stanowisko prawej ręki Karima Kasymowa, które piastował od wielu lat. Chodziło o zmianę układu sił. Teraz dla Karima najważniejsi byli: pierworodny i jego mama, a dopiero potem firma, którą zbudował wiele lat temu. Radik miał poważne obawy, że nie do końca legalna organizacja Chana, dotychczas działająca jak w szwajcarskim zegarku, lekko podupadnie, gdy jej szef skupi się na życiu rodzinnym.

Dotarł pod drzwi apartamentów Fabiany i przysunął do nich ucho, żeby się upewnić, że już nikt nie wrzeszczy z bólu. Nie żeby słyszał jakieś wrzaski wcześniej. Z tego, co mówiła Alija, wynikało, że Fabiana rodziła ze znieczuleniem, czyli praktycznie bezbolesnie. Takie bajery. Ale gdy się miało tyle pieniędzy, ile miał Chan, można było sobie pozwolić na wszelkie nowinki medyczne, poród w domu, profesjonalną opiekę i czego jeszcze tylko człowiek zapragnął.

Zapukał i ostrożnie wsunął się do środka. Ledwie przekroczył próg, a ujrzał swojego bossa. Karim siedział w fotelu i patrzył z dumą na dziecko tkwiące w ramionach Alii. Szybki rzut oka upewnił Radika, że Fabiana śpi w najlepsze. „Pewnie się zmęczyła przy porodzie” – uznał. Na palcach podszedł do przyjaciół i jeszcze raz spojrzął na dziecko. Faktycznie, chłopczyk nosił znamiona podobieństwa do ojca: miał całkiem bujną czuprynę ciemnych włosów, dosyć ciemną cerę i wydatny nos – wypisz wymaluj Chan. Brakowało jedynie kilku blizn i szram, no i zarostu, ale poza tym dzieciak stanowił małą, pomarszczoną kopię starego.

– Gratulacje – szepnął, wyciągając prawicę do szefa.

Ten od razu wstał i mocno objął Radika, kilka razy walnął go w plecy, aż zadudniło, i stwierdził:

– Nie musisz szeptać, Fabiana śpi jak zabita, nic jej teraz nie obudzi.

– Chyba że tak – odparł Radik. Przysunął trzeci fotel i usiadł naprzeciwko Alii i Karima. – I jak się czujesz? – spytał świeżo upieczzonego tatusia.

– Doskonale. – Karim wyszczerzył zęby. – Nie-samowite uczucie.

– Popatrz, jaki on jest słodki... – jęknęła z zachwytem Alija, prezentując mu zawiniątko z maluchem.

– I pomyśleć, że ty kiedyś też tak wyglądałeś – powiedział Karim i zaśmiał się na widok miny Radika.

– Wszyscy tak wyglądaliśmy. Pomarszczona gęba i obrany tyłek. Czym tu się zachwycać?

– Ty to jesteś głupi – fuknęła Alija. – Sam masz obrany tyłek.

– To za jakiś czas, jak wyląduję w domu spokojnej starości – odpowiedział. – O ile dożyję – dodał z kwaśnym uśmiechem.

Miał trochę racji – w ich branży średnia wieku w momencie śmierci wynosiła nie więcej niż czterdzieści lat. Członkowie organizacji przestępczych, a taką bez wątplenia była firma Kasymowa, żyli szybko, intensywnie i z reguły krótko. Wilkowi, czyli ojcu Fabiany, udało się przeżyć całkiem długo, a zmarł na skutek choroby, co również było wyjątkiem.

– Już nie kracz – zaśmiał się Karim. – Dzisiaj świętujemy, nie pieprzymy o starości.

– No właśnie – zawtórowała Alija.

– Pasuje ci ten dzieciak. – Radik wykrzywił się złośliwie. – Szkoda, że wypożyczony.

Lubił wbijać szpileczki podopiecznej Karima. Od-kąd dziewczyna wydorosłała i z chudej, niezgrabnej kozy zmieniła się w bujną piękność, czuł do niej dziwną niechęć. W zasadzie można rzec, że nie tracił żadnej okazji, by dokuczyć Alii. To, że nie miała jak dotąd

chłopaka, było taką właśnie okazją. Radik mniemał, że dziewczyna ma z tego powodu ogrom kompleksów, podobnie jak tych związanych z lekką nadwagą.

On sam nie uważał, że Alija jest gruba. Co to, to nie. Przeciwnie – podobały mu się kobiety z wydatną pupą i sporym biustem, ale wiadomo, obecne kanony urody narzucały raczej wygląd podobny do Fabiany przed ciążą. Dla Radika to już trąciło anoreksją czy jak się nazywała ta chorobliwa szczupłość u młodych lasek. Wolał mieć za co chwycić, niż obmacywać worek kości. Ale każdemu, co jego. Skoro Chan gustował w takim typie urody u bab, Radikowi nie wypadło się wtrącać.

– Wypchaj się – mruknęła Alija. – Wcale nie wypożyczony, tylko trochę mój. Mam rację? – Spojrzała na Karima.

Ten promiennie się uśmiechnął.

– Jeszcze będziesz go miała dosyć – zażartował. – Fabiana też. – Przeniósł wzrok i z czułością spojrzął na śpiącą narzeczoną.

Wystarczyło popatrzeć na Karima, by się domyślić, że kocha tę kobietę nad życie, a teraz, kiedy urodziła mu syna, jego uwielbienie wspięło się na absolutne wyżyny uczucia, jakim można obdarzyć drugiego człowieka.

– Nigdy nie będę miała go dosyć. Jest słodki jak karmelek. – Alija cmoknęła z nabożnością włochatą główkę niemowlęcia. – Śliczny chłopczyk.

– Będzie łobuz, zobaczysz. Nieraz cię walnie albo ugryzie – straszyl Radik.

– Zaraz ja ciebie ugryzę.
– Popatrz, popatrz, jaka się harda zrobiłaś.
– A żebyś wiedział!
– Może wyjdziecie i tam sobie dacie po razie? – zaproponował Karim.

Szybko tracił cierpliwość, kiedy musiał asystować przy utarczkach między Aliją a Radikiem. I pomyśleć, że jeszcze kilka lat temu żyli normalnie, jak brat i siostra, a teraz darli koty na okrągło. Bywało, że ich spory słyszał cały personel pracujący w rezydencji. Fabiana twierdziła, że kto się lubi, ten się czubi. Uważała, że zna podłoże tych niesnasek, i nawet przekazała mu swoje podejrzenia, ale Karim był sceptycznie nastawiony: „Radik zakochany w Alii? Chyba żartujesz, on w ogóle wie, co to znaczy się zakochać?” – pytał, znając doskonale odpowiedź. Według niego Radik należał do grona mężczyzn, którzy nigdy nie będą w stanie zaangażować się emocjonalnie. Fabiana ustąpiła, ale nadal sądziła, że między Radikiem a Aliją coś się działo.

– Twój mąż ma z tobą przechlapane – burknął Radik. – A... zapomniałem, przecież ty nie masz męża.

– Odwal się.

– He, he... nawet nie masz chłopaka, chyba że wytniesz go sobie z papieru.

– Ale serio? – Karimowi niewiele brakowało, żeby przewrócić oczami, jak czasami robiła to Fabiana. – Ile ty masz lat, chłopie?

– No właśnie. – Alija zacisnęła usta w wąską linię. – Stary, a głupi.

– Nie taki znowu stary – odparł Karim, bo jego zastępca liczył sobie kilka lat mniej.

– Idź już. Zrób pranie albo zaceruj swoje gacie. – Alija chciała się pozbyć Radika.

– Sama rób pranie.

– Zaraz polecicie stąd oboje. – Karim potrząsnął głową.

Wprawdzie dzisiaj nic nie mogło zepsuć mu humoru, ale wkurzyć owszem.

– Zaraz sobie pójdę, ale tak właściwie to ja... – Radik chrząknął. – Miałem telefon od Dżamili.

– Co chciała? – Karim zniżył głos, tak samo jak wcześniej Radik.

– Dzwoniła, bo stary Wilk kipnął.

– Umarł? – Alija rozszerzyła oczy.

– A co ty taka zdziwiona? – Radik wzruszył ramionami. – Ludzie zazwyczaj umierają. Zwłaszcza starzy i chorzy.

– Niech mu ziemia lekką będzie. *Inshallah* – powiedział sentencjonalnie Karim.

– Będzie chciała jechać na pogrzeb? – Radik wskazał brodą śpiącą Fabianę.

– Nie sądzę – odparł Karim. – Zresztą nawet gdyby chciała... – Wziął wdech i na moment zastygł z powietrzem w płucach. – Nie, to fatalny pomysł. Nie pozwolę jej na żaden wyjazd, a już na pewno nie do Rosji.

– Ja mogę pojechać – zaoferował się Radik. – Wypadaloby wiedzieć, jak tam wygląda teraz układ sił.

– Masz rację.

Chociaż obecnie niewiele interesów łączyło go z Janem Wilczyńskim, swego czasu współpracowali ze sobą. Niestety później, kiedy Karim ożenił się z córką Wilka, zaczęły się problemy, a kiedy młoda kobieta zmarła w wyniku nieszczęśliwego wypadku, napięcie między Kasymowem a Wilczyńskim osiągnęło punkt krytyczny, zwłaszcza że miejsce po zmarłej Viv zajęła jej bliźniaczka – Fabiana Czekaj. Karim Kasymow prawie przyplacił życiem ten nowy związek, bo Wilk postanowił odzyskać drugą córkę i wysłał po dziewczynę swoich siepaczy z Olegiem Pietrowem, jego najlepszym żołnierzem, na czele.

Plan był prosty: Pietrow miał wyrwać Fabianę z łap Kasymowa i przekazać dziewczynę ojcu, lecz Pietuszką miał swoje aspiracje. Uznał, że ożeni się z córką bossa i po śmierci starego przejmie rządę w organizacji. Bynajmniej nie liczył, że harda Polka dobrowolnie zgodzi się na jego zaloty, dlatego zamierzał ją zgwałcić, ale najpierw należało się pozbyć Kasymowa. Niestety nie docenił przeciwnika – uparty Kazach wcale nie umarł. Uratował go implant ze specjalnego tworzywa, wstawiony przed laty jako wzmocnienie kości czaszki. Karim wstał z martwych i odesłał Pietrowa na tamten świat.

– Pojadę, pogadam z Dżamilą, rozeznam się, co i jak. – Radik pokiwał głową. – Ale nie spodziewam się wielkich problemów. Pietrow już dawno zre piach, a poza nim Wilk nie miał nikogo, kto mógłby przejąć schedę.

– Jest Dżamila. I Ksenia. – Karim się roześmiał.

– Ksenia?

– Córka Dżamili – przypomniała mu Alija.

– No tak. Co z nią?

– Z tego, co wiem, Wilk jej nie uznał. Mieszkała z matką, ale nigdy nie została przysposobiona – oznajmił Karim. – Ale dość o tym. Dzisiaj świętujemy. – Spojrzał na syna i aż się rozpromienił ze szczęścia. – Trzeba wydać przyjęcie.

– Jakie przyjęcie? – spytała wybudzona z drzemki Fabiana.

– Z okazji narodzin twojego synusia. – Alija podniosła się i podeszła do łóżka. – Spał jak aniołek, ale chyba już ma dosyć odpoczynku. – Podała świeżo upieczonej mamie zawiniątko z dzieckiem.

– Muszę go nakarmić – westchnęła Fabiana.

– E... to ja znikam. – Radik natychmiast wstał. Jeszcze tego brakowało, żeby musiał patrzeć na obnażone cycki narzeczonej Chana. – Przy okazji: gratulacje, Fabi. Świetna sprawa ten dzieciak. No – mruknął.

Określił się na pięcie i szybko wyszedł z sypialni.

Alija przewróciła oczami. Wiele razy była świadkiem podobnych akcji ze strony zastępcy Chana. Radik nie miał za grosz rozeznania, co wypada, a co nie i jak się zachować w różnych niecodziennych sytuacjach.

– O, Radik. – Fabiana dopiero teraz zauważyła jego obecność, a raczej jej nagły brak. – Dziękuję – powiedziała w stronę drzwi, za którymi zniknął.

– Co za burak – stwierdziła Alija, używając polskiego słowa, które poznała od przyjaciółki.

– Nie taki znowu burak. Złożył życzenia. – Fabiana ziewnęła malowniczo.

– To może ja was zostawię? – Karim też poczuł się nieswojo, kiedy jego ukochana rozpięła guziczki koszuli nocnej.

– Poradzimy sobie – potaknęła skwapliwie Alija.

Chciała w końcu zostać sam na sam z Fabi i jej dzieckiem. Odetchnęła z ulgą, kiedy Karim je opuścił. Przez chwilę rozważała, czy nie powinna powiedzieć Fabianie, co się wydarzyło, ale szybko uznała, że nie warto jej psuć humoru. – Jest słodki, prawda? – spytała, doskonale wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

– Jest cudny. Mój mały synuś. – Rozpromieniona szczęściem Fabi spojrzała na nią.

– Mój trochę też.

– Wiadomo.

– No właśnie. – Alija aż sapnęła z zachwytu, kiedy maluszek przyssał się do brodawki i pociągnął pokarm. – Będzie żarłok.

– Już jest. Po tatusiu. – Fabiana zachichotała.

– Ale ci zazdroścę.

– Spokojnie, też się doczekasz. Zobaczysz.

– Nie wiem – odparła sceptycznie. – Jakoś nie widzę wokół siebie żadnego kandydata na męża.

– A ja widzę. – Fabiana mrugnęła do niej. – Był tu przed chwilą.

– Co? – Alija wytrzeszczyła oczy. – Chyba żartujesz. Że niby Radik?

– No przecież nie Karim.

– Wiesz co? – Alija poprawiła się na miejscu. – Radik to ostatni facet na tej ziemi, którego brałabym pod uwagę jako partnera do życia, poza tym on mnie nienawidzi. I z wzajemnością. – Dodała ostatnie zdanie, żeby Fabiana nie miała wątpliwości. – Już prędzej wolałabym Rachata albo nawet Gastona. – Wspomniała o ogrodniku, który niedawno owdowiał, a teraz niedomagał, bo tęsknił za zmarłą żoną. Inna rzecz, że miał już sporo lat.

– Jeszcze się wam odmieni. – Fabiana zachichotała, widząc rumieńce na policzkach Alii.

– Tak, na pewno. Jeszcze bardziej go będę nie znosić. To akurat masz gwarantowane – fuknęła dziewczyna.

– Wspomnisz moje słowa. – Fabiana pokazała jej język. – Jesteście sobie pisani. Czuję to.

– A ja czuję coś zupełnie innego. – Alija pociągnęła nosem.

– Hmm... ja też to czuję. – Świeżo upieczona mama się skrzywiła.

Obie parsknęły śmiechem, kiedy maluszek napiął policzki i z głębi zawiniątka dobiegło do nich potężne pierdnięcie, a sekundę później charakterystyczny bulgot.

– Jedna kupa niedawno stąd wyszła, ale teraz przyszła kolejna. – Alija prawie się popłakała ze

śmiechu, gdy wyobraziła sobie Radika jako kupę. –
Mateńko, zaraz się posikam.

– Chcesz pampersa? – zaoferowała Fabiana, tak samo zaśmiewając się z sytuacji. – Gdyby Radik wiedział...

– Teraz już inaczej na niego nie spojrzę, tylko jak na chodzącą kupę. – Alija łkała ze śmiechu.

– Przestań!

– Nie przestanę! A ty chciałaś mnie z nim swatać...

Pogoda nie rozpieszczała moskwian. Rano walił gruby śnieg. Kiedy Radik popatrzył przez okno hotelowego pokoju, nie widział budynków po drugiej stronie ulicy. Przed południem przestało padać i nareszcie wyszło słońce. Radik znał taką pogodę aż nadto. Nawet lubił mroźne poranki, a sporty zimowe sprawiały mu przyjemność, dlatego bywało, że lecieli z Karimem do Austrii, by poszusować po stokach. Odwykł jednak od prawdziwej zimy. Mieszkał tyle lat w Cap Martin, że jego osobisty termostat przestawił się na zdecydowanie wyższe temperatury. W lutym na Lazurowym Wybrzeżu panowały całkiem przyjemne warunki, a temperatura oscylowała w granicach kilkunastu stopni na plusie. Tu było zdecydowanie chłodniej.

Włożył czarny, wełniany płaszcz i gruby szal, po czym wyszedł z pokoju. Na korytarzu już czekali na niego Ruslan i Jerzan. Oni też solidnie się opatulili,

ale ich okrycia pełniły podwójną funkcję – właściciele chroniły przed zimnem, a ich broń przed ciekawskimi spojrzeciami. Lepiej dmuchać na zimne, dlatego Radik polecił, żeby każdy z nich wziął ze sobą gnata i miał oczy dookoła głowy. Wprawdzie na pogrzebach bossów czy innych członków mafii, również tych ostatnich, rzadko zdarzały się incydenty z bronią palną, bo w obliczu śmierci każdy, nawet największy gangus i rzezimieszek zachowywał szacunek. Mężczyzna wolał jednak nie tracić czujności. Nie miał pewności, że w trakcie ostatniej drogi Jana Wilczyńskiego nie pojawi się ktoś z bezpośredniej konkurencji, żeby zakłócić przebieg ceremonii, na przykład wysyłając na tamten świat bliskich zmarłego.

Dwie godziny później było po wszystkim. Radik nie zarejestrował żadnego niepokojącego zjawiska. Licznie przybyli zachowywali się należycie, okazali wdowie szacunek, składali kwiaty i kondolencje, a potem oddalali się na tyły, by pozwolić na to innym. Oszacował liczbę żałobników na pół tysiąca, co zresztą było dosyć łatwe do przewidzenia. Jan Wilczyński był leciwym człowiekiem, miał wiele znajomości i koneksji, liczył się w ich branży. Nawet jeśli ktoś kogoś nie lubił lub miał konflikt z firmą konkurenta, w obliczu śmierci następowało zawieszenie broni, a przewiny zmarłego szły w niepamięć.

– Jedziemy na stypę? – spytał Ruslan, kiedy już wszyscy trzej złożyli wdowie kondolencje, a teraz stali z boku i czekali na oficjalny koniec ceremonii.

– Nie. Chyba że chcecie. – Radik zerknął na kumpla.

– No coś ty. Też mi przyjemność pić z tymi... – Rusłan nie dokończył.

Gardził Rosjanami. Odkąd zaczęła się wojna rozpętana przez Ruskich, niemalże cała Francja odwróciła się od nich. Podobnie jak inni Europejczycy solidaryzowała się z Ukraińcami. Już nie było miejsca dla Rosjan, skończyła się tolerancja. Ich liczne wille były grabione, demolowane i zabijane dechami, a właściciele prześladowani, nawet jeśli dysponowali sporymi zasobami finansowymi i ludzkimi, żeby chronić swoją własność.

Spółeczność milionerów mających swoje włości na wybrzeżu traktowała ich z ostracyzmem. Zwykli obywatele również. Hańbą było pracować u Rosjan, sprzątać ich wille i wozić tyłki ich rozpuszczonych bachorów. Żaden uczciwy człowiek nie chciał mieć nic wspólnego z kacapami.

– Psia ich mać. – Jerżan splunął z pogardą, przesuwając wzrokiem po morzu ludzi tłoczących się w alejkach starego cmentarza.

Przeważali Rosjanie. Łatwo było to poznać po strojnych futrach kobiet, po ich obrzydliwie nachalnym epatowaniu złotą biżuterią, po przepitych, czerwonych mordach większości mężczyzn. Jerżanowi było niedobrze, kiedy musiał stać blisko ludzi mających w głębokim poważaniu to, co ich pobratymcy wyprawiali w Ukrainie.

– Daj spokój. – Radik spojrział karcąco na podwładnego.

Mimo wszystko byli na cmentarzu, a tutaj nie liczyło się to, co doczesne. Tu cichły wszystkie spory. Królowała śmierć – taka sama dla każdego. Tu grzechy szły w niepamięć. W końcu to nie człowiek miał rozliczać bliźniego, tylko Bóg. Jakikolwiek był – czy ten chrześcijański, czy prawosławny, czy ich, muzułmański.

– No co? – fuknął. – To sama swołocz – dodał. Jak wszyscy ludzie Kasymowa biegle posługiwał się rosyjskim, choć od początku tak zwanej operacji specjalnej było mu gorzko w ustach, kiedy posługiwał się tym językiem.

– Ech. – Radik tylko potrząsnął głową.

Podzielał opinię Jerzana, jeśli mowa o stosunku do Rosjan, ale akurat dzisiaj umiał zapanować nad emocjami. Może dlatego, że obudził się zmęczony, fatalnie spał, bo hotelowe łóżko było zbyt miękkie.

– Długo mamy czekać? – spytał Ruslan.

– Chcę chwilę pogadać z Dżamilą – odparł Radik. – Skoro nie idziemy na stypę, wypada zamienić kilka zdań.

Odkąd Alija parokrotnie go wyśmiała publicznie i nagadała mu, że nie ma za grosz kultury, nieraz próbował tej kultury, cokolwiek to znaczyło, nabyć. Nawet kupił sobie kilka książek traktujących o byciu dżentelmenem, ale leżały rzucone w kącie w jego sypialni i czekały na lepsze czasy.

Radik zdążył policzyć uczestników pogrzebu, a nawet dostrzec kilka znajomych twarzy. Między innymi Zawadzkiego, który pełnił funkcję księgowego Wilka, czy paru ludzi pracujących dla Doneckiego, z którym swego czasu się przyjaźnił. Była też oczywiście Ksenia. Gdy ją złowił wzrokiem, aż parsknął pod nosem, bo dziewczyna wystroila się jak na pokaz mody. Miała na sobie długie do ziemi futro z nerek i takąż czapę. Spoglądała z wyższością, jakby wokół niej nie było nikogo w takim samym kosztownym stroju. Radik musiał jednak przyznać, że Ksenia buźkę miała ładną jak laleczka. Nawet Rusłan zwrócił uwagę na dziewczynę i obcesowo wyraził, co mógłby zrobić z taką ślicznotką.

– Ty to jednak jesteś baran – oznajmił Radik, krzywiąc się nieznacznie. – Jesteśmy na pogrzebie.

– Ale to nie ona ma pogrzeb, tylko jej stary – zarechotał Rusłan w odpowiedzi.

– Zamknij się – mruknął Radik, bo Dżamila i jej córka właśnie kierowały się w ich stronę. – A najlepiej stańcie tam. – Wskazał im miejsce parę metrów dalej.

Wolał pogadać z kobietami na osobności. Kto wie, co Rusłanowi wpadłoby do łba. Mógłby palnąć jakąś głupotę, a Radikowi niepotrzebne były żadne kwasy. Myślał, że to będzie krótka, nieznaczająca rozmowa, ale ku jego zaskoczeniu Dżamila przyssała się do niego jak pijawka. Nie dość, że stała bardzo blisko, to jeszcze trzymała go za ramię i co chwilę ocierała łzy. Choć wcale ich nie było, nawet śladów po nich.

– Bardzo się cieszę, że przyjechaliście na pogrzeb. To uprzejme ze strony Karima i Fabianki, że was przysłali – powtórzyła po raz trzeci.

– No tak... Fabiana niedawno urodziła dziecko, nie mogła osobiście przyjechać. – Też się powtórzył. „Dołączysz do starego, jeśli znowu powiesz to samo” – jęknął w duszy.

– A może my przyjedziemy do Fabianki? – zaproponowała i zerknęła na córkę. Ta tylko wzruszyła ramionami.

– Eee... do Fabianki? – Radik aż się spocił z nerwów.

– No tak. Zobaczyć dziecko. Bardzo bym chciała poznać wnuczka mojego drogiego Janka. Chociaż raz go zobaczyć, zanim umrę.

– Nie jesteś taka stara, żeby umierać – palnęła Radik. Dopiero kiedy skończył, zdał sobie sprawę, jak to zabrzmiało.

Na szczęście Dżamila miała poczucie humoru. Jej córka aż podskoczyła, kiedy matka ryknęła gromkim śmiechem.

– Radik, ty to jesteś dżentelmen. No ja nie mogę! – Zaśmiewała się jeszcze przez chwilę. – Dziękuję za komplement. Co do wizyty, jeśli nas zaprosicie, na pewno przyjedziemy. Ja i Ksenia. – Spojrzała z dumą na córkę.

– Chan z przyjemnością ugości was obie. Nikomu nie odmawia gościny – odparł Radik.

Generalnie rzecz biorąc, mówił prawdę, ponieważ Karim lubił zapraszać znajomych do swojej rezydencji. Tylko czy ta chęć obejmowała Dżamilę

i jej córkę? Radik szczerze wątpił. Liczył, że wdowa po Wilku jednak odmówi, ale najwyraźniej miała inne plany.

– Tak? – Klasnęła w dłonie z zachwytem, a jej twarz natychmiast rozjaśnił uśmiech. – Z rozkoszą skorzystamy z zaproszenia, prawda, kochanie?

W odpowiedzi Ksenia tylko wywróciła oczami i fuknęła coś niewyraźnie pod nosem.

„Zaraz zastrzelę obie te baby” – pomyślał Radik. Czuł, że popełnił fatalny błąd, zachęcając je do przyjazdu na Cap Martin. Mogły tu sobie siedzieć w spokoju, a on wróciłby do domu. „Karim urwie mi jaja” – dodał w głowie, kiedy córka Dżamila, zgromiona przez matkę wzrokiem, odburknęła, że dziękuje za zaproszenie i na pewno z mamą z niego skorzystają.

– Eee... to świetnie. Karim się ucieszy.

– I nasza droga Fabianka – uzupełniła jego wypowiedź Dżamila. – A właśnie! Kiedy ślub?

– To nie moja sprawa – zbył ją Radik.

Nerwowo przestąpił z nogi na nogę i tęsknym wzrokiem spojrzął na samochód, którym tutaj przyjechał wraz z chłopakami. Ci już tam przeszli, stali obok hotelowej limuzyny i czekali na niego.

– Chyba nie zamierzasz już uciekać? – Dżamila poprawnie odczytała sygnał. – Zapraszamy na uroczystą stypę. Ciebie i twoich towarzyszy.

– Panie wybaczą, ale... – Chrząknął, bo coś załaskotało go w gardle. – Będę się zbierać. Było miło. – Skinął sztywno głową, odwrócił się na pięcie i się oddalił.

Miał w dupie, jak obie kobiety odbiorą jego nagłą rejteradę. I tak się poświęcił, przyjeżdżając na pogrzeb Jana Wilczyńskiego. Staruch narobił dość kłopotów za życia, żeby jeszcze męczyć się na jego stypie. Z ulgą dołączył do chłopaków i kazał kierowcy jechać prosto na lotnisko.

Tymczasem Dżamila i jej córka powoli szły do bramy cmentarza. Czekala tam na nie równie elegancka czarna limuzyna, ale ta miała pancerne szyby i była naszpikowana najnowszą elektroniką. Kiedyś należała do Wilka, teraz przypadła w spadku Dżamili. „Na otarcie łez” – jak to określiła. Czymże były te drobiazgi, czyli dwie wille – jedna tutaj, w najlepszej moskiewskiej dzielnicy, druga w Gruzji – trzy samochody, trochę biżuterii i niewielki zapas gotówki na koncie, wobec gigantycznego bogactwa jej zmarłego męża.

„Nie daruję mu” – znowu pomyślała, idąc na palcach, żeby kozaki na wysokich szpilkach nie grzęzły w pokrytym śniegiem trawniku. „Odzyskam całą tę kasę, choćby po moim trupie”. Zerknęła na córkę. Dziewczyna szła obok niej, milcząc. Miała w nosie rozterki matki. Na razie w jej życiu nic się nie zmieniło. Wkrótce jednak pieniądze się skończą, a wraz z nimi luksusowe życie, które dotychczas stanowiło jej zwykłą codzienność.

– Pojedziesz tam – oznajmiła twardo kobieta.

– Gdzie? Do Francji? – spytała Ksenia. – A po co? Byłam już na Lazurowym Wybrzeżu wiele razy. Nudy. – Wydęła usta.

– Żadne nudy.

– Nudy – upierała się młoda.

Matka nie wytrzymała. Szarpnęła Ksenię za rękaw futra i zatrzymała ją w miejscu.

– Nie rozumiesz?! – syknęła. – To nasze być albo nie być. Twoje być albo nie być.

– Zwariowałaś na starość – odpyskowała dziewczyna. Wyszwoleciła się z uścisku matki i spojrzała na nią z wyższością. – Dam sobie radę.

– Nie masz pojęcia o życiu, tkwisz w szklanej bańce, która wkrótce pęknie.

– Już dawno pękła – rzekła gorzko Ksenia. – Nie zależy mi na niczym. To ty nic nie rozumiesz.

– A ta ciągle swoje – westchnęła Dżamila. – Zapamiętaj, nie ma co płakać. Tego kwiatu jest pół świata.

– Kochałam go.

– Wiem. – Matka nagle złagodziła ton.

Tajemnica, którą nosiła w sercu, bolała jak ostra drzazga wbita pod paznokieć. To Karim Kasymow odpowiadał za śmierć ukochanego Kseni. To on go zastrzelił, ale Oleg Pietrow był sam sobie winien. Gdyby wykonywał polecenia otrzymane od Wilka, nic by się nie stało, ale nie... Młody miał swoje ambicje, uknuł genialny w jego mniemaniu plan, że zlikwiduje Kasymowa i zastąpi go u boku córki bossa.

Niestety nie docenił przeciwnika. Kasymow wyszedł z tego starcia żywy, choć stracił oko. Pietrow nie miał tyle szczęścia. Gdy Dżamila zobaczyła zdjęcia

zwłok Olega, a raczej samego korpusu z bezładnie rozrzuconymi kończynami, aż zasłabła. To Jan pokazał jej te fotki zrobione smartfonem któregoś z żołnierzy i ostrzegł, że właśnie tak kończą zdraycy. Naskoczyła na niego, że zawsze była wierna oraz lojalna i co z tego miała? Otóż wielkie nic.

A ta głupia Ksenia, zanim to wszystko się wydarzyło, zakochała się w Pietrowie na zabój. Nie widziała świata poza nim, łąziła za Olegiem i naprzykrzała mu się na każdym kroku. Niedziwne, że traktował ją wyjątkowo podle, zachowując jedynie pozory w obecności Wilka. Poniział Ksenię, wykorzystywał i źle o niej mówił. „Dobrze, że już nie ma tego ścierwa na świecie” – pomyślała Dżamila, choć jako matka cierpiała wraz z córką, nawet jeśli ta oplakiwała łotra.

„Ksenia nie może się nigdy dowiedzieć, że to sprawka Kasymowa. Jeszcze gotowa coś uknuć. Kto wie, co mogłaby wymyślić jako zemstę” – twar do postanowiła Dżamila. Na razie udawało się jej zachować tę tajemnicę, zresztą dramatyczne wydarzenia coraz bardziej zacierał czas i była szansa, że Ksenia nigdy nie dowie się prawdy. Dla niej Oleg zginął w czasie jednej z misji przerzutowych, a zastrzelił go jakiś kolumbijski handlarz. Na nich zawsze najłatwiej zwalić winę.

– Leć do Francji. Odpoczniesz, zrelaksujesz się. Dawno nigdzie nie byłaś. – Dżamila pogładziła ramie córki.

- A ty? – Młoda wzruszyła ramionami.
- A ja zostanę tutaj. Tak będzie lepiej.
- Ale co mam tam robić? Mamo... – jęknęła Ksenia. – Nie lubię się wpraszać na siłę.
- A gdybyś tak... – Matka uśmiechnęła się lisio. – A gdybyś zainteresowała się Radikiem?
- Co? – Wymodelowane brwi Kseni wystrzeliły w górę. – Tym gnomem? On jest okropny. Sięga mi do brody, ale pal licha wzrost. To zwykły cham i prostak.
- Co racja, to racja – zgodziła się z nią.
- Wzięła córkę pod ramię i ruszyły do samochodu. Uczestnicy pogrzebu Jana Wilczyńskiego już pewnie zdołali dotrzeć do jednej z najlepszych moskiewskich restauracji, gdzie zorganizowano przyjęcie, a one ciągle były na cmentarzu.
- Chodzi o to, że Radik jest zastępcą Kasymowa. To jego prawa ręka – powiedziała.
- No i?
- No i kiedyś może to on zostanie chanem.
- Taa... – Dziewczyna przewróciła oczami. – Tacy jak Kasymow są nieśmiertelni.
- Każdy jest śmiertelny.
- Ale niektórym długo z tym schodzi. – Ksenia znowu zmarkotniała, bo jej ukochany Oleg nie żył, a taki Miszka, ich kucharz, skądinąd miły człowiek i bardzo kochany, miał już prawie siedemdziesiąt lat i nic mu nie było.
- Każdy kiedyś umrze – argumentowała matka.
- No właśnie. Po co się starać cokolwiek zmieniać?

– Po to, żeby była sprawiedliwość. Cały majątek Janka należy się tobie i mnie, a nie tej rudej ździrze.

– Ale ta ruda ździra, jak ją określiłaś – zachichotała Ksenia – urodziła właśnie dziecko Kasymowowi, a on ponoć totalnie świruje na jej punkcie. I po co mam do nich jechać? Żeby mnie tam, na miejscu, szlag trafił z tej ich miłości?

– Pojedziesz na zwiad. Może uda ci się dowiedzieć czegoś ciekawego, kto wie. A najlepiej byłoby wkraść się w łaski Radika. Mówię ci, to jest nasza jedyna szansa. Jak Radik cię polubi, wtedy...

– Błagam. Skończ już o tym – przerwała jej Ksenia. – Na razie nic nie jest postanowione. Testament jeszcze nie został otwarty.

– Ale znam jego treść.

– A jeśli tata zmienił zapisy?

– Nie zmienił. – Dżamila zmarszczyła czoło. – A nawet jeśli, to na pewno nie na twoją czy moją korzyść. Nie pamiętasz? Ten stary łotr jeszcze za życia zapisał większość majątku Fabianie.

– Ale ona go nie przyjęła. Sama mówiłaś.

– Kiedyś przyjmie, kwestia czasu.

– Bo ty tak powiedziałaś – zakpiła Ksenia. – Nie każdy tańczy, jak mu zagrasz.

– Zobaczymy. Tak czy owak, nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak ta głupia dziewczucha z Polski przejmuje wszystko, czego dorobił się Janek. O nie! Po moim trupie! – warknęła Dżamila.

– Uważaj, o co prosisz – odparła Ksenia.

Zatrzymała się na moment i spojrzała za siebie. Marmurowy grobowiec, do którego złożono przed chwilą doczesne szczątki Jana Wilczyńskiego, lśnił w słońcu jak budowla z lodu.

– Proszę tylko o sprawiedliwość. – Dżamila dołączyła spojrzeniem do córki. – O nic więcej, tylko o sprawiedliwość.

ROZDZIAŁ

DRUGI

Ósma rano to nie najlepsza pora na wizyty, ale właśnie w taki wczesny, ciepły poranek u wrót posesji Karima Kasymowa pojawiła się czarna limuzyna. Wysiadł z niej niski mężczyzna, z tylnej kanapy zabrał teczkę i dał znak kierowcy, żeby zaparkował gdzieś na poboczu i poczekał cierpliwie. Mężczyzna podszedł pod bramę i stanął zaraz przed wycelowaną prosto w niego kamerą. Musiał poczekać, aż ludzie po drugiej stronie wysokiego murowanego ogrodzenia zauważą jego obecność.

Ochrona przekazała Radikowi, że ktoś chce się dostać na teren posesji, a ten, chcąc nie chcąc, musiał sprawdzić, kogo licho niesie. Kazał wpuścić intruza i chwilę później dołączył do trzech ochroniarzy, którzy pełnili dyżur przy bramie. Tajemniczy koleś był chudy jak patyk i bardzo, ale to bardzo wyszykowany. Jak z żurnala. Miał na sobie wełniany garnitur, a jego buty aż lśniły. Kiedy Radik podszedł bliżej, facet nerwowo przestąpił z nogi na nogę, a potem bezwiednie podniósł teczkę i przycisnął do torsu niczym tarczę ochronną.

– A ty coś za jeden? – spytał Radik.

– Nazywam się Hans Vogt – odparł po francusku. Wyraźnie się speszył, kiedy Radik groźnie zmarszczył czoło, ale szybko odzyskał rezon. W końcu miał misję do wykonania i nie mógł się wystraszyć już na początku. – Muszę zobaczyć się z panną Fabianą Tschekaj. – Trochę zniekształcił wymowę i nazwisko wybrzmiało twardo.

– Ja tam nie wiem, co ty musisz, a czego nie, ale chyba padło ci na łeb, człowieku, jeśli myślisz, że każdy może tutaj wejść z ulicy ot tak. – Radik pstryknął palcami.

– Nie jestem kimś z ulicy.

– Dla mnie jesteś. – Radik błysnął zębami. Zerknął na Rachata, a ten burknął, że jak coś, facet może szybko wrócić na ulicę. – No dobra, panie Vogt, czego chcesz od Fabiany?

– Mówiłem, muszę zobaczyć się z panną Tschekaj. Osobiście. – Podkreślił ostatnie słowo.

– Ale kim ty w ogóle jesteś? – Zastępca gospodarza odsunął się na krok od gościa, nie mogąc dłużej znieść intensywnego zapachu jego wody toaletowej.

– Oto moja wizytówka. – Vogt podał Radikowi blankiet.

– Pan mecenas?

– Owszem.

– Z Zurychu?

– Zgadza się.

– Z kancelarii... – Radik spojrzał na kartonik. – Co oznaczają te literki?

– To inicjały imion współników.

– Aaa, kapuję. Masz jakiś dokument tożsamości?

Vogt bez słowa podał mu swój paszport. Radik skrupulatnie go pooglądał, przewertował strony, porównał tragicznej jakości zdjęcie z facjatą prawnika i uznał, że wszystko jest w porządku.

– Byłeś umówiony z Fabianą?

– Poniekąd.

– Mów jak człowiek.

– Panna Fabiana na pewno się mnie spodziewa.

– Tak? A czemu?

– Tematem rozmowy będą kwestie spadkowe. – Prawnik postanowił uchylić rąbka tajemnicy. – Jestem odpowiedzialny za przekazanie pannie Tschekaj wszelkich informacji związanych z testamentem jej ojca.

– Trzeba było tak od razu – mruknął Radik.

Kazał mężczyźnie poczekać i wrócił do willi. Szybko przegadał temat z Karimem, a ten z Fabianą. Mecenas Vogt musiał przejść jeszcze skrupulatną rewizję osobistą i nareszcie doświadczył zaszczytu spotkania z Fabianą. Ta, w podomce i z nieładem na głowie, ledwie żyła. Wcale nie miała ochoty na jakiegokolwiek spotkania, najchętniej spałaby i spała. Wiedziała jednak, że kiedyś i tak musiała załatwić tę sprawę.

– Wolalbym zostać sam na sam z panną Tschekaj – oznajmił Vogt, kiedy Karim zamaszystym ruchem ustawił krzesło tuż obok kanapy, którą zajęła ziewająca co chwilę Fabiana, i usiadł na nim okrakiem, przodem do oparcia.

– Ale Fabiana woli co innego – odparł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Prawnik zerknął na swoją przyszlą klientkę, a ta kiwnęła głową.

– Wolę, żeby mój narzeczony tutaj był.

– W porządku – ustąpił prawnik. – Najpierw chciałbym wykluczyć błąd przy stwierdzeniu tożsamości. Sprawdzę pani dane biometryczne.

– Co takiego? – Kasymow od razu się nastroszył. – O czym ty gadasz, człowieku?

– O potwierdzeniu tożsamości.

– Przynieść paszport? – Fabiana znów ziewnęła tak głęboko, że w kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

Była nieprzytomna, niewyspana i na dodatek zaczęło jej burczeć w brzuchu, a piersi pełne pokarmu uwierały coraz bardziej. Mały właśnie doświadczał kolki, bywało, że nie spała całą noc, bo dziecko płakało bez ustanku i tylko noszenie na rękach przynosiło mu ulgę. Oczywiście Karim dzielnie wspierał Fabianę, tak samo Alija – opiekowali się maluchem, a wtedy Fabiana mogła złapać trochę snu, ale karmić piersią mogła tylko ona, nikt inny.

„Że też nie miał kiedy przyjść tutaj ten nudziarz” – pomyślała, licząc, ile godzin zdołała dzisiaj przespać. Wychodziło na to, że zaledwie cztery. Nic dziwnego, że usypiała na stojąco. Rozważała, czy jednak nie przeprosić intruza i powiedzieć mu, że spotkają się później, gdy jej syn osiągnie pełnoletność, a ona nareszcie będzie mogła się wyspać, ale odsunęła kuszącą myśl. Lepiej mieć to z głowy.

– Nie potrzebuję żadnych dokumentów – odparł Vogt. – Zeskanuję pani siatkówkę i prosiłbym o odcisk linii papilarnych.

– Człowieku, chyba ci padło na rozum – wycedził Karim, kiedy Vogt wyjął z teczki niewielkie urządzenie. – Co to jest?

– Skaner oczu.

– Skąd masz to gówno? Z banku?

– Owszem, to czytnik, który...

– Macie moje odciski palców? – Fabiana była w szoku. Nareszcie się obudziła.

– Tak, odciski palców i skany siatkówki. Ojciec szanownej pani dostarczył do nas...

– Wilk? – przerwał mu Karim. – A to ciekawe. Skąd ten łotr miał takie rzeczy? Wiesz coś o tym? – Spojrzał na Fabianę, ale ona była jeszcze bardziej zaskoczona. Uniosła brwi i rozłożyła ręce. – A ty? Wiesz coś? – Przeniósł wzrok z powrotem na prawnika.

– Niestety nie mam wiedzy w tej kwestii. Byłem pewien, że panna Fabiana sama udostępniła spadkodawcy te dane.

– Nic nie udostępniałam. Widziałam tego człowieka raz w życiu, na dodatek przez chwilę – oświadczyła, czując, że jednak zmęczenie wygrywa.

Mecenas przytknął palce do ust i przez moment trwał w głębokim namyśle. Nie spodziewał się czegoś takiego, kiedy zgodził się na lot do Francji i załatwienie sprawy ze swoją młodą klientką.

– Pokaż ten skaner – odezwał się Karim. Zabrał urządzenie i wnikliwie je obejrzał. – Wygląda

niegroźnie, ale kto was wie, czy to nie jakieś szkodliwe gówno. Włącz i zeskanuj swoje oczy. No już, zwawo.

Vogt zbaraniał, na usta cisnęło mu się, żeby ten wielki, przypakowany gnojek poszedł do diabła, ale rozsądek podpowiadał, że to raczej on sam by tam się udał, na przykład przez jedno z wysokich okien willi. Uruchomił skaner, powoli zeskanował jedno oko, potem drugie i pokazał zapis.

– Jak widać, nic złego nie stało się moim oczom. Tak wygląda skan siatkówki. – Podał przyrząd Kari-mowi. – Obraz został zapisany, wystarczy uzupełnić go o linie papilarne oraz moje dane osobowe i otrzymujemy doskonałe narzędzie do identyfikacji.

– Najpierw pokaż, co tam masz na profilu Fabiany, a potem będziemy gadać dalej. – Kasymow był czujny. Zerknął na dziewczynę, póżełała na miękkim podłokietniku sofy i walczyła z sennością. – Jak chcesz, idź się położyć. Ten tutaj poczeka, nie ma nic do roboty.

– E... – bąknął Vogt, chcąc zaprzeczyć i powiedzieć, że przeciwnie, ma bardzo dużo do roboty, a godzina jego pracy sporo kosztuje, poza tym jego samolot odlatywał za cztery godziny, a przecież jeszcze musiał dostać się do Nicei.

Na szczęście panna Fabiana usiadła, potarła mocno policzki i mruknęła:

– Dam radę.

Ostatecznie pozwoliła zeskanować oczy, odbiła opuszkę palca na czytniku linii papilarnych i jej tożsamość została potwierdzona ze stuprocentową pewnością. Vogt odetchnął z ulgą. Mógł przedstawić

zapisy testamentu, choć nie obyło się bez poważnego zgrzytu, kiedy ten gigantyczny, wulgarny osiłek usilnie próbował wydobyć z niego informacje, w jaki sposób bank i kancelaria, którą reprezentował, weszły w posiadanie danych biometrycznych Fabiana.

– Nie wiem. Ostatni raz powtarzam, że nie mam wiedzy w tej kwestii.

– Pewnie ktoś z jego ludzi zrobił mi ukradkiem zdjęcie – dywagowała Fabiana.

– Pogadamy później. – Karim dał jej do zrozumienia, że teraz nie czas na takie rozmowy.

– Oto testament. – Mecenas wręczył Fabianie plik dokumentów.

Po krótkim namyśle wyjął z teczki duplikat i podał Karimowi. Ten od razu łaskawie się uśmiechnął.

– Powoli się uczysz – parsknął pod nosem.

– Dokumenty są sporządzone w dwóch językach, francuskim i polskim – poinformował.

Trochę trwało, zanim Fabiana przebrnęła przez papierzyska, ale w końcu przeczytała całą treść. Na szczęście Karim też przeczytał i mogła w razie czego liczyć na jego bystry umysł. Inna rzecz, że już dawno podjęła decyzję w sprawie spadku i była przygotowana, chociaż trzeba przyznać, że jej biologiczny ojciec trochę ją zaskoczył. Nie sądziła, że sporządzi formalny testament, a suma, którą na nią zapisał, będzie tak oszałamiająca.

– Odmawiam przyjęcia spadku – powiedziała. Odłożyła dokumenty na stół i spojrzała na prawnika. – Coś jeszcze? Mam to gdzieś napisać?

- Rzecz w tym, że nie może pani odmówić.
- E tam. – Machnęła ręką. – Mogę. I odmawiam.
- Pani ojciec, pan Jan Wilczyński, przewidział taką reakcję i zastrzegł, że cały zapis będzie czekał na panią dożywotnio.
- To niech sobie czeka. – Fabiana wzruszyła ramionami. – A potem przepadnie.
- Nie przepadnie tak łatwo. Gdyby szanowna pani nie podjęła zapisu aż do swojej śmierci, wówczas majątek z automatu przejdzie na potomstwo szanownej pani, a wykonawcą testamentu zostanie biologiczny ojciec potomstwa. Lub ojcowie.
- Wiem, czytałam. Moje potomstwo ma jednego ojca i przynajmniej na razie nie potrzebuje tych pieniędzy, proszę mi wierzyć. – Fabiana głęboko westchnęła. – A może ma pan coś skutecznego na kolkę?
- Słucham? – Vogt wytrzeszczył oczy.
- Na kolkę. Niemowlęcą – sprecyzowała jego klientka. – Ma pan dzieci?
- Obawiam się, że nie pomogę w tej materii. – Poprawił się na siedzeniu. Od wielu lat mieszkał ze swoim przyjacielem w jednej z najładniejszych kamienic w dzielnicy Niederdorf i jedyne, co mieli, to dwie papuzki faliste, a one nie cierpiały na kolki. – Wracając do tematu, pieniądze może podjąć również pełnoprawny małżonek szanownej pani, ale z zastrzeżeniem, że po co najmniej rocznym pożyciu małżeńskim. Potem, bez względu, czy będzie pani żyła, czy...
- Nie żyła – dokończyła Fabiana i zaniósła się nerwowym chichotem, bo jakoś głupio było myśleć,

że dokona żywota rok po ślubie z Karimem. – Nie planuję umierać, panie...

– Vogt – odpowiedział. – Oczywiście nikt tego nie zakłada.

– No właśnie. – Pokiwała głową. – Ależ to wszystko głupie. – Spojrzała na narzeczonego. Karim tylko się uśmiechnął. – Proszę wracać do siebie – zwróciła się do prawnika. – Mam w nosie te pieniądze, do ostatniego złamanego franka. Nigdy ich nie wypłacę.

– To woła szanownej pani.

– Otóż to.

Prawnik na wszelki wypadek zostawił plik swoich wizytówek, żeby zawsze były pod ręką. Oczywiście testament również zostawił, ale tylko oryginał. Na duplikacie Fabiana poświadczyła podpisem, że otrzymała dokumenty. Z wielką ulgą opuścił willę Karima Kasymowa. Czuł się tam jak w siedzibie sycylijskiej mafii. Oczywiście nigdy nie odwiedził podobnego miejsca, ale właśnie tak je sobie wyobrażał – mroczny klimat, przepych aż do przesady i właściciel z najgorszych koszmarów.

Temat był załatwiony i tylko to się liczyło.

Co się odwlecze, to nie uciecze. Niestety.

Radik nie mógł sobie wybaczyć długiego jęzora. Jakie лихо podkusiło go, żeby zaprosić tutaj te dwie idiotki? Minęły: luty, marzec i połowa kwietnia, więc

zastępca Chana zapomniał już o propozycji złożonej mimowolnie Dżamili i Kseni. I właśnie wtedy, bez żadnej zapowiedzi, młoda przybyła do rezydencji. „Niech to szlag!” – klął, kiedy pomagał dziewczynie wnosić na piętro niezliczone walizki, kufereki, skrzyneczki, torby i cholera wie co jeszcze. Przywiozła ze sobą tyle dobytku, że wyglądało to raczej na przeprowadzkę niż na wizytę.

Na szczęście Dżamila nie dotarła do Cap Martin. Ponoć miała problem z biodrem, ale według niego specjalnie wysłała tylko córkę, żeby ta uwiodła Karima. Przekazał swoje podejrzenia Chanowi, a ten aż się zgiął ze śmiechu.

– Ona woli ciebie! – Wycelował w niego palec wskazujący.

– Bzdura – obruszył się Radik.

– Mówię ci.

– I co jej ze mnie? Ty to co innego, jesteś bossem. Takie baby lecą tylko na facetów, którzy mają władzę. Już ją je znam.

Karim nie zamierzał dopytywać, skąd wzięła się wiedza Radika w tej kwestii, ale musiał stanowczo zaprzeczyć.

– Nie ma takiej opcji, możesz być spokojny. Ksenia na mnie nie działa.

– Tyle to ja wiem – odburknął Radik. Każdy w tym domu wiedział, że Karim wprost szaleje za Fabianą i ich niedawno narodzonym dzieckiem. Teraz świat mógł przestać dla niego istnieć, liczyła się wyłącznie ta dwójka – narzeczona i dziecko. – Boję

się, że narobi jakichś kwasów. W końcu to pasierbica Wilka. Trzeba być czujnym.

– To zwykła głupia dziewczyna, skupiona na ciuchach i podobnych pierdołach. Uwierz, przece-
niasz ją.

– Może tak, może nie. – Radik podniósł się z fo-
tela i podszedł do okna wiedziony szóstym zmysłem. Intuicja go nie myliła: zobaczył Ksenię na trawniku przed rezydencją. Póleżała na ogrodowym szezlon-
gu i patrzyła na morze. – Ona mi się nie podoba.

– Czemu? Jest ładna. Na szczęście nie wdała się
w matkę. – Karim pił do topornej urody Dżamili
Tujakbaj.

Matka Kseni po macoszemu została obdarowa-
na kobiecymi wdziękami, jej córka natomiast była
bardzo ładna, można nawet rzec, że piękna – wy-
soka, szczupła, z włosami o barwie pszenicy. Miała
duże, okrągłe oczy i perkaty nos. Mogła się podobać,
ale Karim nie skusiłby się teraz nawet na Miss We-
nezueli. Ba! Na Miss Wszechświata. W jego sercu
niepodzielnie panowała Fabiana.

– Nie chodzi o jej wygląd. – Radik odwrócił się
plecami do okna i wsparł plecy o szeroki marmuro-
wy parapet. – Nie podoba mi się, że ona tu jest.

– Sam ją zaprosiłeś – przypomniał mu Karim
i krzywo się uśmiechnął.

– Byłem głupi.

– Byłeś uprzejmy.

– Ech. – Radik potarł skronie. – Kiedy wyjeżdża?
Wiesz coś?

– Przecież niedawno przyjechała. – Karim wyszczerzył zęby.

Bawiło go zachowanie Radika. Zupełnie jakby ta niczemu winna dziewczyna była ich najgorszym wrogiem. Owszem, nie darzył jej ani szacunkiem, ani zaufaniem. Ksenia należała jednak do wrażego obozu, choć dawne niesnaski między Chanem a Janem Wilkiem były już przeszłością, bo ten ostatni zmarł.

– I może już wracać do siebie. – Radik był nieprzejednany.

Karim dołączył do niego i dyskretnie wyjrzał przez okno. Niespodziewany gość nie zdawał sobie sprawy, że jest bacznie obserwowany przez dwóch mężczyzn. Dziewczyna odpoczywała beztrzesko, całkiem zadowolona, że wszystko ma podane na tacy. Jedyne, co jej zapewne dokuczało, to nuda, bo ani Karim, ani Fabiana nie mieli dla niej zbyt wiele czasu, spotykali się jedynie przy posiłkach, i to też nie zawsze.

– Daj jej spokój. Przynajmniej zażyje trochę słońca.

– Niech sobie kupi solarium.

– To szkodliwe.

– No masz! – Radik prychnął pod nosem. – A co mnie obchodzi, czy to szkodliwe, czy nie.

– Za tydzień, góra dwa już jej nie będzie.

– Obyś miał rację. Ona mi się nie podoba. To wszystko mi się nie podoba, od początku. Co taka laska ma tu do roboty?

– Obawiam się, że dziewczęta jej pokroju w żadnym miejscu tego świata nie mają nic do roboty. –

Karim się zaśmiał. – Ich główne zadania to leżeć i pachnieć, a potem bogato wyjść za mąż, by dalej leżeć i pachnieć.

– Otóż to. Pasożyt.

– Trochę tak, ale dekoracyjny, musisz przyznać.

– Żeby Fabiana to słyszała...

– Fabi nie jest zazdrosna.

– Fakt. – przyznał rację Chanowi. – To chyba dobrze?

– To bardzo dobrze, uwierz. A teraz może weźmiemy się za obowiązki?

– Jasne.

Ledwie jednak przysiedli nad papierami, otworzyły się drzwi gabinetu i do środka weszła Fabiana. Milad, największy skarb Karima, tkwił w jej ramionach. Jego mała twarzązka ociekała śliną, bo właśnie oczekiwał pierwszego ząbka. To było dosyć trudne oczekiwanie, ponieważ malec nie spał, płakał i marudził.

– Weź go chociaż na kwadrans, bo zaraz oszaleję... – jęknęła.

– Alija nie może ci pomóc? – zapytał Radik, ale prawie natychmiast pożałował swoich słów, bo Fabiana zgromiła go wzrokiem.

Odkąd urodziło się dziecko, dziewczyna Chana stała się jeszcze bardziej bojowa i niepokorna. Nie żeby kiedykolwiek była spokojną kobietą. Co to, to nie! Panna Czekaj od zawsze miała cięty język, pyskowała i zachowywała się koszmarnie, ale... Ale Chan zakochał się w niej po uszy i w tym momencie już nikt nawet nie próbował przeciwstawić się Fabianie.

– Mały ma ojca – stwierdziła rezolutnie i podała synka Karimowi.

Świeżo upieczony tatuś rozpromienił się niczym nowa supergwiazda na nieboskłonie. Spojrzał z zachwytem na oślizgłą od śliny twarz maleństwa, głośno cmoknął je w policzek i z dumą oznajmił:

– Milad. Mój syn. Mój pierworodny.

– I ostatniorodny. Przynajmniej na razie nie planuję kolejnych dzieci. – Fabiana westchnęła ciężko.

– Zobaczysz, zmienisz zdanie, i to szybko. – Karim wyszczerzył do niej zęby.

– No nie wiem. – Uśmiechnęła się filuternie.

„Zaraz się porzygam” – pomyślał Radik, widząc, jak tych dwoje wymienia między sobą czule spojrzenia. Byli nieznośni, zwłaszcza ostatnio, kiedy urodził się mały.

– To jak, robimy coś? – spytał pro forma.

– Nie. Na razie wracaj do siebie, bo ja...

– Ta... wiem – mruknął. Boss nie musiał kończyć. – To ja spadam.

– Dotrzymaj towarzystwa Kseni – poradziła mu Fabiana i złośliwie się uśmiechnęła.

Tajemnicą poliszynela było zainteresowanie Kseni osobą Radika. Już wszyscy zdążyli zauważyć jej uwagę, a służba plotkowała na okrągło, co Ksenia zrobiła i co powiedziała. A najlepsze było to, że obiekt jej westchnień bynajmniej nie odwzajemniał tych uczuć, przeciwnie – było widać jak na dłoni, że Radik ma ochotę zepchnąć Ksenię z klifu do morza i zapomnieć o niej na zawsze.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

